

MICHAŁ
CETNAROWSKI
I DUSZA MOJA

MICHAŁ
CETNAROWSKI
I DUSZA MOJA

KONTRAPUNKTY



powergraph

Warszawa 2013

Copyright © 2013 by Michał Cetnarowski
Copyright © 2013 by Powergraph
Copyright © 2013 for the cover by Rafał Kosik i Jan Kosik
Wszelkie prawa zastrzeżone.
All rights reserved.

Redaktor prowadząca serii: Kasia Sienkiewicz-Kosik
Redakcja: Kasia Sienkiewicz-Kosik
Korekta: Maria Aleksandrow
Skład i łamanie: Powergraph
Ilustracja na I okładce: Rafał Kosik i Jan Kosik
Projekt graficzny serii i opracowanie: Rafał Kosik

Wyłączny dystrybutor:
Firma Księgarska Olesiejuk Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością S.K.A.
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki
tel. 22 721 30 00, fax 22 721 30 01
www.olesiejuk.pl, e-mail: fk@olesiejuk.pl



Wydawca:
Powergraph Sp. z o.o.
ul. Ceglowska 16/2, 01-803 Warszawa
tel./fax: 22 834 18 25, 22 834 18 26
powergraph.pl, sklep.powergraph.pl, e-mail: powergraph@powergraph.pl

ISBN 978-83-61187-72-1

Printed in Poland, EU

*„Nastala noc: ocknęły się wszystkie pieśni kochających.
I dusza moja jest pieśnią kochającego”.*
Fryderyk Nietzsche

Prolog

godzina 6.45

Budzik w telefonie jak co rano zagrał główny motyw z *Rocky'ego*. Wstawaj, tygrysie, trzeba znów brać się za bary z życiem, już za piętnaście siódma. Ostatnio coraz trudniej było mu uwierzyć pełnym energii dźwiękom piosenki.

Wyłączył budzik i zamrugał, bez przekonania próbując wyegzorcyzmować nadchodzący ból głowy. Jerzy Horowitz miał czterdzieści sześć lat, bliznę na podbródku, ślad po wystających prętach płotu, przez który próbował przeskoczyć w dzieciństwie jako Indianin, uciekający z Old Shatterhandem przed rabusiami bydła, wycięty wyrostek robaczkowy i zoperowane więzadło w prawym kolanie, które strzeliło mu na nartach w Białce

Tatrzańskiej, już w wolnej Polsce, był w trakcie sprawy rozwodowej, nie miał stałej pracy, na koncie zostały mu trzy tysiące sześćset pięćdziesiąt dwa złote i tego dnia miał umrzeć.

Wstał wolno, przeczesał siwiejące na skroniach włosy, ciągle gęste, skierował się bez przekonania pod prysznic. Za oknem przez marcowe chmury z trudem przedzierał się poniedziałkowy świt. Wielki Tydzień zaczynał się jak długi i bolesny poród. Horowitz odkręcił kurek i skrzywił się kwaśno pod sitkiem prysznic. Przynajmniej do tej pory ten poniedziałek nie różnił się niczym od swoich poprzedników.

Zapowiadał się długi dzień.

godzina 7.54

Wioleta paliła papierosa na działkach za szkołą i słuchała, jak na imprezie najlepiej zrobić laskę. Stały razem z Agatą i Lidią, która trzy miesiące temu zaczęła prowadzić bloga, dwa miesiące temu straciła dziewictwo na jednej z pierwszych osiemnastek w tym roku, a przed miesiącem zdecydowała się zająć sprawą z naukowego punktu widzenia. Postanowiła sprawdzić, jak te sprawy wyglądają u ich znajomych ze szkoły i regularnie publikować relacje z takich badań na nowym seks-blogu. Liczba wejść wzrosła jej natychmiast, o kilkaset, a potem kilka tysięcy dziennie, a Lidka założyła sobie plan wydania tego za rok jako książki, zaraz po napisaniu matury. Miała czas, żeby zbierać materiały.

— A więc — kontynuowała poważnym tonem — zakładanie prezerwatywy w tym momencie to nie jest najlepszy pomysł.

— A, no wiesz... AIDS? — Agata strzepnęła popiół z L&M Linka. Było zimno. Poprawiła puchową kurteczkę.

Lidka wzruszyła ramionami.

— Jak chcesz sobie zuć kondoma, to nikt ci nie broni. Kaśka, ta z ekonomika, która mi o tym opowiedziała, potem całą imprezę nie mogła się pozbyć takiego potwornego smaku... no, wiecie, jakbyście kredę jadły. Albo zasypkę dla dzieci.

— Skąd wiesz?

Lidka się zmieszała. Wioleta słuchała, wstydząc się tego, o czym mówią koleżanki, rumieniąc się z tego powodu i jeszcze bardziej wstydząc się tego swojego wstydu. Miała siedemnaście lat, ciemnoblonde włosy do ramion, mały nosek, po mamie, piersi w rozmiarze B, które za nic nie chciały urosnąć, i ciągle była dziewicą. Do tej pory nie przeszkadzało jej to za bardzo, ale od kiedy Lidka, jej najlepsza przyjaciółka, poszła na tę pamiętną osiemnastkę u Michała, to teraz Wioletta rozmawiając z nią, czuła się nieco nieswojo. Nie żeby nigdy nie poruszały tych tematów, Elka Remcz jeszcze w gimnazjum straciła cnotę w krzakach na komersie, i to już wtedy było szkolną sensacją. Pierwszego pornosa też oglądały razem, z wypiekami na twarzy, na wakacjach, kiedy obie miały po czternaście lat, a rodzice Lidki wyjechali w sobotę na długie popołudniowe zakupy do Wrocławia. Kiedyś się nawet pocałowały, pijane, na kolonii w Łebie, ale potem obróciły wszystko w żart. Jeszcze dziś czasami

przypominały sobie tamten wieczór i śmiały się, kiedy chciały sobie dogryźć.

Ale co innego rozmawiać o filmach, a co innego zniknąć z imprezy, pojechać samochodem rodziców chłopaka na pola za Strzeszowicami, a potem zrobić to na tylnym siedzeniu, z trudem ściągając majtki i spodnie, kiedy para unosi się wokół głów i oddechy dymią alkoholem. W porównaniu z tym Wioleta mogła się najwyżej pochwalić kilkunastoma wejściami dziennie na stronę Lidki, żeby sprawdzić komentarze i to, czy przyjaciółka nie wkleiła właśnie nowego wpisu. Ale do tego nigdy by się przed Lidką nie przyznała.

— No, wiecie... — po chwili wahania Lidka ściszyła teatralnie głos. Wyglądała na naprawdę zażenowaną. — Ja, no... No, wiecie, sama spróbowałam.

— No co ty? Komuś loda zrobiłaś? — Wioleta nie wytrzymała. — Nic nie powiedziałaś? I na blogu nie pisałaś...

— Nie no, spokojnie, jeszcze się taki nie narodził. — Dziewczyna odrzuciła włosy z czoła, zaciągnęła się papierosem, odzyskując werwę.

Stały na drodze przy płocie przed działkami, za którym widać było nagie, zimowe drzewa i altanki na narzędzia z oknami zabitymi dyktą. Od strony szkoły chronił je stary murek z czerwonej cegły, poaustriacki jeszcze, na którego filarach rozciągnięto nieszczelną drucianą siatkę; przez dziury w płocie uczniowie chodzili po piłkę, kiedy ta przeleciała nad ogrodzeniem w czasie wuefu, albo na

przerwach wymykali się na papierosa. Budynek szkoły był wybudowany z takiej samej ciemnoczerwonej, wpadającej w czerń cegły.

— Ale badania to badania. Po maturze to ja zamierzam być sławna, gdybyście jeszcze nie wiedziały, tak się załatwia indeks do łódzkiej Filmówki. No więc kupiłam prezerwatywy.

— Gdzie, w kiosku? — Agata, koleżanka Lidki z klasy, pokręciła z niedowierzaniem głową. — Ja bym się chyba zjarała ze wstydu.

— Nie no, oczywiście że nie w kiosku. Wrzuciłam je do zakupów w Kauflandzie, specjalnie poszłam za mamę po ryż i pierś z kurczaka.

— No i?

Lidka odchrząknęła.

— No i je spróbowałam...

— Spróbowałaś? Żułaś jak orbitkę?

— Jasne, a koń jeszcze siedem kilometrów biegł potem bez głowy. Nie no. Normalnie, na banana założyłam, jak na necie.

Wioleta wyobraziła sobie Lidkę uprawiającą seks oralny z obciągniętym lateksem bananem. Agata nie ustępowała. Była wyraźnie podekscytowana.

— Co za wariatka... I jakie były?

— Noo, jak mówiłam. Straszny syf. A smakowe nie lepsze.

— To smakowe też kupiłaś? Lubisz to, suko, przyznaj się — charakterystycznie przeciągnęła sylaby.

— No wiesz, jeśli to miałoby pomóc...

— E tam, ty normalnie nienormalna jesteś. — Agata skrzywiła się z udawanym obrzydzeniem. — Ja to już chyba wolałabym się nawalić, i tyle. Wtedy to samo pójdzie, a tobie i tak już nic nie przeszkadza.

Lidka się uśmiechnęła.

— Oj tam, oj tam, nie panikuj. Po prostu chcę, żeby na podstawie mojej książki nakręcili coś lepszego niż „Seks w wielkim mieście”. A o to trzeba się postarać.

Od strony szkoły dobiegł ich przytłumiony dźwięk dzwonka. Dziewczyny zgasiły papierosy, wrzuciły do buzi po tik tacu i ruszyły na zajęcia. Wioleta miała pierwszą fizę, potem polski i biologię. Co zrobić, pod koniec fizyki na pewno będzie myślała o fellatio, na wzory na ruch ciała i panią Zielińską, nudną jak ropucha, mocnych nie ma. Zapowiadał się zwyczajny dzień.

— To jak? — Lidka zagadnęła ją, kiedy już znalazły się w budynku. Uczniowie właśnie z ociąganiem wchodzili do klas. — Po szkole jedziemy do Wrocka połączyć po Dominikańskiej?

— No jasne, i tak nie mam nic innego do roboty. Nie chce mi się wracać do chaty.

— Aż tak źle z ojcem?

— Nie. Gorzej. Ja już teraz się nie dziwię, czemu matka go rzuciła.

— A tam od razu rzuciła. Może jeszcze wróci.

Zaczęły wchodzić po schodach, niosąc niedbale przetrzucone przez ramię niewielkie plecaczki z jednym ze-

szytem i książką do polaka. Agata została z tyłu. Wioleta miała lekcje na drugim piętrze, klasa Lidki na trzecim. Szkoła w budynku po starych austriackich koszarach to był prawdziwy labirynt.

— Gównu, a nie wróci. Ty byś wróciła? Z Anglii? Tutaj? Zobaczysz, na wakacjach ja też do niej wyjadę, i w ten sposób skończą się wszystkie problemy na chacie.

— A matura?

— Mam czekać cały rok? Tutaj? To ja mam w dupie maturę. Po co mi matura w Anglii?

— No wiesz, może się jeszcze przydać.

— Tam to mi się tylko język przyda, po co mi jakaś polska matura? No, i ewentualnie twoja książka, jak już ją wydasz. Żebym wiedziała, co z tym językiem zrobić...

Uśmiechnęły się.

Wioleta nie chciała rozmawiać o mamie. Kiedy zaczynała, z trudem dobierała słowa, nie bardzo umiała nazwać to, co czuła, a gdy wreszcie to robiła, bała się tego, co znajdowała za tymi słowami. Kiedy rozmawiała o matce, nawet z Lidką, w zasadzie tylko z Lidką, zaraz była rozdrażniona.

— No a co będzie ze mną? Sama w tej budzie nie wytrzymam.

— A ja nie wytrzymam z ojcem. Przecież to kompletny frajer, nic mu się w życiu nie udało.

— Wszyscy mężczyźni to kutasy, nie zapominaj o tym. Tylko tyle, i aż tyle. To też może być ich dobra strona...

Wioleta wydeła wargi.

— Daj spokój. Przecież to mój ojciec — wymówiła to tak, jakby próbowała wypluć zużytą prezerwatywę, która przypadkowo zsunęła się z wyprężonego banana.

— Sama daj spokój. To tylko kolejny poniedziałek, taki sam jak wszystkie. Zobaczysz, jeszcze będzie dziś fajnie.

— Tak, tak, jasne. To najgorszy poniedziałek w moim życiu — z uśmiechem powtórzyła ich wspólne hasło. Witały się nim na początku każdego tygodnia.

Horowitz wcisnął kilka razy przycisk z zaznaczonym plusem, żeby pogłośnić radio. Profesjonalny głos dokończył właśnie na Trójce porannego przeglądu prasy.

Sznurek samochodów włókł się w kierunku Wrocławia w standardowym wężu. Strzeszowice stanowiły noclegownię miasta, jak Oława, Jelcz-Laskowice czy Oleśnica. Dwadzieścia osiem tysięcy mieszkańców to nie jest szczególnie oszałamiająca liczba, zwłaszcza wobec ponad sześćsettyśięczonego Wrocławia, ale jeśli dodać do tego zakłady farbiarskie, dużą hurtownię budowlaną, niedawno wybudowane Carrefoura i Aldika, starą fabrykę obuwia, jeszcze z czasów PRL-u, i nową linię produkcyjną Volkswagena, która nie zmieściła się już na wrocławskich Bielanych, to w miasteczku żyło się całkiem znośnie. Przynajmniej do niedawna, do chwili, kiedy Volkswagen nie zaczął się sypać i zwalniać ludzi.

Osiedle domków jednorodzinnych powiększało się w ostatnich latach z kwartału na kwartał, wieczorami na

rynku można było spotkać więcej młodzieży, niż Horowitz pamiętał ze swoich czasów w strzeszowickim ogólniaku, jakby miasteczko nie zdawało sobie sprawy z diagnoz o zapaści demograficznej w następnym pokoleniu. Ludzie w czasach kryzysu ciągnęli do dużych miast jak mrówki do roztopiających się na rozgrzanym asfalcie landrynek. Ci, którzy nie chcieli zamieszkać w centrum – lub nie było ich na to stać – lądowali w takich Oławach i Strzeszowicach. Horowitz zredukował bieg, kiedy cały sznur samochodów zaczął zwalniać.

Do Wrocławia było dwadzieścia osiem kilometrów. Zazwyczaj o tej porze, kiedy większość mieszkańców Strzeszowic wyjechała już do pracy, tę drogę pokonywało się w dwadzieścia–dwadzieścia pięć minut. Ale i tak postarał się wyruszyć dziś wcześniej, choć na rozmowę umówiony był dopiero na 8.30, i to na Żmigrodzkiej, więc nie musiał prawie w ogóle wjeżdżać w miasto. Powoli zbliżał się do Wrocławia; auta zwolniły jeszcze bardziej. Spojrzał na zegarek na nadgarstku, znoszony niewyszukany casio z prostokątną kopertą na skórzanym pasku, który nosił na co dzień i nauczył się patrzeć w jego beznamienne, odmierzające czas oblicze mechanicznie, regularnie, jakby zażywał lekarstwo. No tak, tak, kurwa mać. Przynajmniej dwóch rzeczy można być w tym mieście pewnym: niekończących się remontów mostów i jebanych korków. Dziennikarz w radiowych wiadomościach, jak to miał w zwyczaju od przeszło roku, mówił właśnie o następnej fali kryzysu, nadcho-

dzącej dokładnie tak, jak to przewidziały mądre telewizyjne głowy, o potrzebie dalszego zaciskania pasa, kolejnych zwolnieniach i problemach na rynku pracy. Tego akurat Horowitz słuchać nie musiał. Od dwóch miesięcy mógłby być idealnym bohaterem jednego z talk-show o kryzysie albo, w zależności od potrzeb i kroju marynarki, ekspertem w którejś z debat wszystkowiedzących polityków w niebieskich koszulach, sztywnych kołnierzykach i o opalonych na solarium twarzach. Dziś też jechał na rozmowę kwalifikacyjną.

Jak co rano zastanowił się, czy Beata już wstała do pracy, pod angielskim zasnutym niskimi chmurami niebem. Jak co rano sklął się za to i po raz kolejny przyrzekł sobie o tym nie myśleć. Dodał gazu, wrzucił czwórkę, auta przyspieszyły. Jakiś przedstawiciel handlowy w okratowanym oplu merivie wyskoczył ze sznura aut i wyrwał się dziko do przodu, tańcząc niebezpiecznie na wąskiej drodze, nie zważając na widoczne już światła samochodów jadących z naprzeciwka. Horowitz skrzywił się. Niedługo on też będzie się tak ścigać z czasem w samochodzie służbowym wziętym w leasing?

Życie zaczęło mu się sypać jakiś rok temu. Dziś oczywiście potrafiłby określić nawet dokładny tydzień, kiedy to się zaczęło, może dzień, jakby się postarał, a jakże. Kiedyś nawet próbował, po dużej wódce pitej w samotności ciemnego pokoju, kiedy Wioleta już poszła spać, na biurku byczyła stara lampka z czterdziestowatową żarówką, a on prawie czuł, jak z każdą minutą coraz

bardziej traci kontrolę nad własnym życiem, i znów nie mógł zasnąć. Rano, kiedy przyzwyczał się do bólu głowy, bo dawno tyle nie wypił, uśmiechnął się bez radości na wspomnienie nocnych przemyśleń, z dostojnym fatalizmem, jak na czterdziestosześcioletka przystało, i dał sobie spokój z tłumaczeniem życia według recept z telewizyjnych seriali. Łatwo było odczytywać znaki zapowiedzianej straty po czasie, gdy wszystko wydawało się oczywiste i wyraźne. Wtedy, kiedy żył – kiedy przeżywał życie – nic nie było oczywiste i nie układało się w czytelny wzór; gdyby się układało, być może potrafiłby temu przeciwdziałać.

Lewy prosty rzeczywistości zaskoczył go i trafił na miękkie podczas rozmowy z Karolem. Horowitz pracował u niego w firmie długie szesnaście lat, zaczęli jeszcze w czasach polskiego dzikiego kapitalizmu, w szalonych latach dziewięćdziesiątych, kiedy nosiło się dresy z kreszu i załatwiano biznesy, wożąc na tylnym siedzeniu łady torby wypchane zielonymi i purpurowymi, pięcio- i dziesięciotysięcznymi banknotami z Szopenem i Wyspiańskim. Jako inżynier budowy maszyn, nawet bez magisterki, której nie zdążył już zrobić, bo właśnie zaczynała się nowa Polska, mógł zapewne załapać się lepiej, ale wtedy pomysł na własną firmę zajmującą się instalacją i sprzedażą okien wydawał się kopalnią pieniędzy.

Po pierwszym okresie, kiedy już odbili się od dna i wywalczyli swoją niszę na rynku, przez jakiś czas

rzeczywiście tak było. To były jego lata tłuste. Wakacje w Turcji (a jakże), nowy Ford Taurus (a jakże), narty w Austrii (a jakże) i kolonie letnie dla Wiolety (tak, tak), podczas których wymykał się wcześniej z pracy, wracał szybciej do domu, w którym czekała już Beata, a potem kochali się na podłodze w ich sypialni (a jakże), nie ściągając przepoconych ubrań i objając się boleśnie na twardym parkiecie, a potem biorąc długą wspólną kąpiel i uśmiechając się do siebie z przymkniętymi leniwie powiekami.

A później przyszło załamanie rynku budowlanego, w kilka miesięcy ceny skoczyły o kilkaset procent (jak się śmiali z Karolem, najłatwiej było wtedy zarobić na ceglach i pustakach, jeśli ktoś kupił je przed boorem, a potem odsprzedał bez wysiłku trzy razy drożej), co początkowo nie było dla nich żadnym problemem, ludzie nadal musieli gdzieś mieszkać, a na pewno wymieniać okna w starych domach, a więc dalej się budowali, choć kredytów nie dostawało się już na solenną obietnicę spłaty i piękny uśmiech małżonki.

Wkrótce banki jeszcze bardziej przykręciły kurek z kredytami, tak, to wiedział nie tylko z radia, a oni w firmie musieli się uspokoić i ograniczyć inwestycje, ale sytuacja w ich branży i tak wciąż wydawała się stabilna. Przecież w jednej chwili nie stanęły budowy i remonty w całej Polsce, wszyscy w tym samym momencie nie przestali potrzebować nowych okien. Kryzys na wielu płaszczyznach to było początkowo wydarzenie czysto medialne, arena do dialektycznego popisu ekonomistów,

przeżywających swój moment sławy. Do czasu, aż Karol, formalnie ciągle jego szef i właściciel firmy, choć Horowitz czuł się bardziej jego współnikiem niż podwładnym, zaprosił go na lunch i powiedział o swoich inwestycjach.

Grając na giełdzie, utopił sporo pieniędzy, mówił z nieco przekrwionym wzrokiem, ale dalej, nienaganie ubrany, nosił srebrnego timexa za trzy tysiące tak, jakby się z nim urodził. To naprawdę nie były małe sumy, mówił. Żeby się utrzymać z innymi inwestycjami, musi sprzedać firmę. Jeśli Horowitz chce, może ją odkupić. Wymienił sumę, po znajomości, wiadomo. Horowitz bez mrugnięcia przełknął nabrany na widelec kęs sałatki, choć nagle zrobiło mu się sucho w ustach i gdyby to nie było oznaką słabości, a w biznesie, nawet na tym poziomie, nie mógł sobie na taką pozwolić, wypiłby duszkiem stojącą przed nim szklankę niegazowanej wody mineralnej z cytryną, a potem zamówił do niej drugą, po brzegi wypełnioną kruszonym lodem, i pięćdziesiąt gramów czystej. Szybko przeanalizował wszystkie za i przeciw. Chciał kupić, no jasne. Przecież to wciąż był dobry interes. Bank miał jednak inne zdanie. Sytuacja na rynkach finansowych zaczęła wariować, pożyczek nie dawano wcale albo przydzielano je według absurdalnego klucza, wyglądało, jakby je udzielano na chybił trafił. On pieniędzy nie dostał. A nowy właściciel go nie potrzebował. Wtedy też coraz bardziej zaczęło się psuć między nim i Beatą.